



Dwa dni (niecałe) w Leh po powrocie z Doliny Nubry spędziliśmy bycząc się, robiąc zakupy i zbierając siły na drogę do Manali. Młodzi wygłosili kolejne referaty, wypisali pocztówki, przepakowali plecaki. My, kadra, w sumie podobnie... Był czas na kawkę, ciacho, leniwe podjadanie sera z mleka jaka, który strukturą i smakiem przypomina parmezan. Trzeciego dnia rano zarządziliśmy zbiórkę o 5.30, by zapakować bagaże i ruszyć w drogę do Manali, ale z przystankiem na puje w monasterze w Thiksey. Zdążyliśmy na czas, czyli widzieliśmy moment ogłaszania początku modlitw trąbieniem ze szczytu gompy. Mnisi, wśród których było sporo dzieciaków, niskimi głosami rytmicznie powtarzali mantry. Towarzyszyły temu dźwięki trąb i gongów. Wszyscy zebrani w głównej świątyni wypili herbatę z masłem, a potem wyszli na rozgrzany słońcem dziedziniec monasteru. My wpakowaliśmy się do travellerów i rozpoczęliśmy podróż do Manali z przystankiem na noc w Jispie. A ten przejazd trwał i trwał. Stan dróg był różny - bywało, że sunęliśmy gładko wyasfaltowanymi duktami, a bywało, że trzęsło nami i busami, bo musieliśmy przejechać po żwirze, kamolach, przez wodę... przez okna travellerów obserwowaliśmy wesoło biegające od norki do norki świstaki, kozice górskie zgrabnie pozujące na zboczach gór, stada kóz i baranów. My obserwowaliśmy, czyli głównie opiekunowie, bo nasi milusińscy zasypiali jak tylko kierowcy odpalali silniki. Nie wszyscy, ale znakomita większość. I nie przejmowali się ostrzeżeniami, że oblejemy ich wodą, nie zwracali uwagi na nasze zachwyty Koziółkiem Matołkiem czy tym świstakiem, co to zawija w sreberka... spali z przerwami na pochrupanie krakersów czy chipsów. Lunch zjedliśmy w Pangu, a kolację pod namiotami w Jispie. I zaserwowana kolacja i namioty były super, więc złapaliśmy oddech, nie zmarzliśmy, a nawet domyśliśmy boskie ciała ciepłą wodą dostarczoną nam w wiadrach. Wyspani w busach wyprawowicze ruszyli na podbój campingu, ale nie uszli daleko, mocno zaintrygowani rosnącymi tam krzaczorami zielska. Dodam jeszcze, że Szot zwany Bąbelkiem całą drogę do Jispy (10 h) opowiadał mi rozmaite historie rodzinne, które wróciły do mnie w postaci majaków sennych kiedy padłam na wyrko w namiocie.

Noc w Jispie była spokojna i ciepła, choć nad ranem zaczęło padać. Do Manali przyjechaliśmy ok. 11tej i zanim zakwaterowaliśmy się w hotelu Yak, pożegnaliśmy naszych mistrzów kierownicy, którzy przez trzy tygodnie wozili nas po Ladakhu. Obaj dostali od nas sowite typy i spersonalizowane koszulki zamówione przez młodych w Lehu. Potem zajęliśmy zarezerwowane pokoje i my - kadra podreptaliśmy załatwiać transport naszej grupy do Chandigarhu i Ambali na „pojutrze”. Tego dnia zabraliśmy wyprawowiczów tylko w jedno miejsce - do Vashisht Village. I myśleliśmy, że najpierw zwiedzimy świątynie hinduistyczne i zobaczymy gorące źródła, a potem pozwolimy sobie na lunch, ale ponieważ wspomniane zabytki zamknięte były do 15tej, zmieniliśmy kolejność, co wszystkim pasowało, bo marzyliśmy już o tym, żeby wrzucić coś do żołądków. Dyrektor poszedł na całość i zamówił „utupane” kartofle z jajem sadzonym i lassi. Inni sobie też nie żalowali. Najedzeni zrealizowaliśmy plan zwiedzania i wróciliśmy do Manali trochę się pobyczyć i wysłuchać referatów Mary Nowak o kuchni indyjskiej i Oli Głogowskiej o demografii Indii. Oba super. A następnego dnia ruszyliśmy na podbój Old Manali. Pogoda na spacerki była wymarzona - nie za ciepło, lekki wiaterek... więc pokazaliśmy młodym dwie świątynie Hadimba Devi oraz Manu i oprowadziliśmy ich wąskimi uliczkami, by zobaczyli resztki niegdysiejszej zabudowy starego miasta. Co najbardziej spodobało się naszym milusińskim? Oczywiście możliwość zrobienia sobie zdjęcia wśród krzaków zielska, by nie powiedzieć ZIOŁA. Daliśmy im też chwilę na penetrację sklepów, a sobie na... kawę, a potem pieszo, przez cedrowy las,



wróciliśmy do centrum miasta. Na 17.30 zaplanowaliśmy kolejne odczyty i Karol i Filip owe wygłosili, ale bez naszego, czyli mojego i Grace w tym udziału, bo... haniebnie zasnęliśmy na ponad trzy godziny. Miała być króciutka, półgodzinna drzemka, a nie obudziło nas walenie do drzwi szefa i młodych. No cóż... śnił mi się nawet wspomniany boss (ubrany), któremu tłumaczyłam, że zaraz wstanę, ale tego „zaraz” nie zrealizowałam na jawie. Kiedy w końcu wstałyśmy było już „po ptokach”, czyli po referatach, a ekipa zbierała się na kolację. A rano... znowu w drogę! Przed nami był chyba najtrudniejszy odcinek wyjazdu z górskich terenów Indii. Drogi od Manali do Chandigarhu były pozrywane wskutek monsunowych deszczów i powodzi. I rzeczywiście, już wjeżdżając do Manali widzieliśmy wygryzione przez żywioł duże fragmenty dróg, asfaltu i brzegów rzeki przy których niepewnie stały ciągle zamieszkałe domy. Obraz dróg, a dokładniej tego, co po nich zostało, był jeszcze bardziej przygnębiający. Jadąc travellerami do Chandigarhu, widzieliśmy zniszczone przez wodę wraki autobusów, samochodów osobowych, koparek, które pewnie pracowały, umacniając pobocza... Jednak do Chandigarhu przyjechaliśmy bez większych przeszkód. Przejechaliśmy przez miasto, aby porównać przeanalizowaną wcześniej myśl architektoniczną Corbusiera z rzeczywistością. Do mnie jakoś to miasto nie przemawia, ani park z instalacjami ze śmieci, do którego zawsze prowadzi nas Kumar kiedy tam jesteśmy, ani katedra, przypominająca kościół w Piaśnikach De gustibus... wiadomo. A potem... potem był pociąg do Agry i nowy rozdział tej wyprawy.